



KATE MORTON

AUTORKA KSIĄŻKI *CÓRKA ZEGARMISTRZA*

DOM W RIVERTON



ALBATROS

Duchy przeszłości

Zeszłego listopada przyśnił mi się koszmar.

Mieliśmy rok 1924 i znowu byłam w Riverton. Wszystkie drzwi prowadzące na taras zostały pootwierane, a jedwabne zasłony unosiły się w powiewach letniej bryzy. Wysoko na wzgórzu, pod starym klonem, stała orkiestra. Otulone ciepłem skrzypce leniwie grały jakąś melodię. Powietrze rozbrzmiewało donośnym śmiechem i brzękiem kryształowych kieliszków, a niebo miało ten odcień głębokiego błękitu, którego w czasach wojny nikt nie spodziewał się ujrzeć ponownie. Jeden z lokajów, odziany w elegancki czarno-biały frak, nalewał szampana do kieliszka ustawionego na szczycie szklanej wieży, a wszyscy wokół klaskali, urzeczeni tym wspaniałym marnotrawstwem.

Jak to bywa w snach, zobaczyłam również samą siebie. Przechadzałam się wśród gości. Szłam wolno, znacznie wolniej niż w prawdziwym życiu, a wszyscy wokół zlewali się w jedną niewyraźną gmatwaninę jedwabiu i cekinów.

Szukałam kogoś.

Wtedy otoczenie się zmieniło i znalazłam się w pobliżu letniego domku – tylko że to wcale nie był letni domek w Riverton, to byłoby niemożliwe. Nie był to wspaniały nowy budynek zaprojektowany przez Teddy’ego, lecz stara ruina porośnięta bluszczem, który wspinał się po murach, wpychał się przez okna i oplatał filary.

Ktoś mnie wołał. Jakaś kobieta o znajomym głosie; dobiegał zza budynku, znad brzegu jeziora. Zesłam z pagórka, muskając dłońmi najwyższe źdźbła trzciny. Nad brzegiem kucała jakaś postać.

To była Hannah, ubrana w suknię ślubną upstrzoną plamami błota, które przywarło do haftowanych róż. Spojrzała na mnie, a kiedy jej twarz wynurzyła się z cienia, zobaczyłam, że jest przeraźliwie blada. Jej głos zmroził mi krew w żyłach.

– Spóźniłaś się. – Wskazała na moje dłonie. – Spóźniłaś się.

Spojrzałam na dłonie, moje młode dłonie pokryte ciemnym błotem, i ujrzałam spoczywające w nich sztywne i zimne ciało martwego psa.



Oczywiście wiem, co wywołało ten sen. Wywołał go list tej reżyserki. Ostatnio nie dostaję zbyt wielu listów: od czasu do czasu przychodzi jakaś pocztówka od sumiennej przyjaciółki przebywającej na wakacjach, zdawkowe pismo z banku, w którym lokuję oszczędności, zaproszenie na chrzciny jakiegoś maleństwa, którego rodzice – co zauważam z przerażeniem – już dawno przestali być dziećmi.

List od Ursuli przyszedł pod koniec listopada, we wtorek rano, i Sylvia przyniosła go, kiedy wpadła posłać łóżko. Uniosła pogrubione kredką brwi i pomachała kopertą.

– Oto dzisiejsza poczta. Sądząc po znaczku, to coś ze Stanów. Może od twojego wnuka? – Jej lewa brew wygięła się w znak zapytania, a głos zniżył się do ochryplego szeptu. – Okropna sprawa. Po prostu okropna. A to taki miły młody człowiek.

Kiedy Sylvia cmokała z niezadowoleniem, podziękowałam jej za list. Lubię Sylwię. Jest jedną z niewielu osób, które pod zmarszczkami na mojej twarzy potrafią dojrzeć ukrytą w środku dwudziestolatkę. Mimo to nie daję się wciągnąć w rozmowę o Marcusie.

Poprosiłam ją, aby rozsunęła zasłony, a ona na chwilę zaciśnęła usta, po czym przeszła do kolejnego ze swoich ulubionych tematów: pogody, szans na śnieg podczas świąt Bożego Narodzenia, spustoszenia, jakie wywoła wśród artretycznych podopiecznych. We wła-

ściwych chwilach udzielałam odpowiedzi, lecz moje myśli krążyły wokół koperty spoczywającej na kolanach. Zastanawiał mnie kanciasty charakter pisma, zagraniczne znaczki i sfatygowane krawędzie, które świadczyły o długiej podróży.

– A może ci go przeczytać? – zaproponowała Sylvia, z zapalem nadając poduszkom pożądany kształt. – Dam twoim oczom trochę odpocząć.

– Nie. Dziękuję. Ale mogłabyś podać mi okulary.

Kiedy wyszła, obiecując, że po skończeniu obchodu wróci i pomoże mi się ubrać, drżącymi dłońmi ostrożnie wyjęłam list z koperty, zastanawiając się, czy wnuk wreszcie postanowił wrócić do domu.

Jednak list wcale nie był od Marcusa. Napisała go jakaś młoda kobieta, która kręciła film o przeszłości. Chciała, żebym rzuciła okiem na scenografię, przypomniała sobie rzeczy i miejsca z dawnych czasów. Jak gdybym przez całe życie nie udawała, że wymazałam je z pamięci.

Zignorowałam ten list. Cicho i ostrożnie złożyłam go z powrotem i wsunęłam w książkę, którą już dawno przestałam czytać. A później odetchnęłam. Nie po raz pierwszy przypominano mi o tym, co zaszło w Riverton pomiędzy Robbiem a siostrami Hartford. Pewnego razu zobaczyłam końcówkę filmu dokumentalnego o poetach z okresu wojny, który Ruth oglądała w telewizji. Kiedy na ekranie pojawiła się twarz Robbiego w towarzystwie nazwiska wypisanego drobną czcionką u dołu ekranu, poczułam, jak przechodzą mnie ciarki. Lecz nic się nie stało. Oblicze Ruth nawet nie drgnęło, narrator mówił dalej, a ja wróciłam do wycierania talerzy po obiedzie.

Innym razem, kiedy czytałam gazetę, mój wzrok przykuło znajome nazwisko umieszczone pośród recenzji w programie telewizyjnym. Harmonogram obchodów siedemdziesięciolecia brytyjskiej kinematografii. Zapamiętałam godzinę projekcji i z łomoczącym sercem zastanawiałam się, czy odważyć się to obejrzeć. Ostatecznie zasnąłam, zanim program dobiegł końca. Było tam bardzo niewiele na temat Emmeline. Kilka zdjęć z reklam, z których żadne nie

oddawało jej prawdziwego piękna, i urywek jednego z jej niemych filmów, *Romans Venus*, w którym wyglądała bardzo dziwnie: miała zapadnięte policzki i poruszała się sztywno jak marionetka. Nie wspomniano o innych filmach, o tych, które groziły wielkim skandalem. Chyba w dzisiejszych czasach swoboda seksualna i rozwiązłość nie wywołują już żadnego poruszenia.

Jednak chociaż podobne wspomnienia nawiedzały mnie wcześniej, list Ursuli był inny. Po raz pierwszy od przeszło siedemdziesięciu lat ktoś skojarzył z tymi wydarzeniami mnie, przypomniał sobie, że tamtego lata w rezydencji Riverton przebywała młoda kobieta nazwiskiem Grace Reeves. Przez to w jakiś sposób poczułam się bezbronna, wyobcowana. Winna.

Nie. Byłam niewzruszona. Ten list miał pozostać bez odpowiedzi.

I rzeczywiście: nie odpisałam.

Zaczęły się jednak dziać różne rzeczy. Wspomnienia, dawno wepchnięte w najciemniejsze zakamarki mojego umysłu, zaczęły wydostawać się stamtąd przez szczeliny. Zaczęły pojawiać się wyraźne obrazy, niezwykle ostre, jak gdyby od czasu ich zaistnienia wcale nie upłynęło całe moje życie. A po tych pierwszych nieśmiałych kroplach nastąpił prawdziwy potop. Całe rozmowy, słowo w słowo, z każdym szczegółem. Kolejne sceny rozgrywały się jak w filmie.

Zaskoczyłam samą siebie. Chociaż mole wygryzły dziury w pamięci niedawnych zdarzeń, okazało się, że odległa przeszłość jest jasna i wyraźna. Ostatnio te duchy dawnych czasów odwiedzają mnie dosyć często i ze zdziwieniem spostrzegam, że niezbyt mi to przeszkadza. Na pewno nie tak bardzo, jak się obawiałam. Wręcz przeciwnie: zjawy, przed którymi uciekałam całe życie, stały się dla mnie niemal czymś w rodzaju pocieszenia, czymś godnym oczekiwania, jak jeden z seriali, o których bez przerwy mówi Sylvia, kiedy pośpiesznie wykonuje swoje obowiązki, aby móc obejrzeć kolejny odcinek w głównym holu. Chyba zapomniałam, że pośród tego mroku były również jasne chwile.

Gdy w ubiegłym tygodniu przyszedł drugi list, w kopercie opatrzonej tym samym kanciastym pismem i napisany na takim samym

delikatnym papierze, wiedziałam, że się zgodzę, że spojrzę na tę scenografię. Poczułam zainteresowanie, a to nie zdarzyło mi się już od dosyć dawna. Niewiele rzeczy jest w stanie wzbudzić ciekawość u dziewięćdziesięcioośmioletniej staruszki, lecz mimo to chciałam poznać tę Ursulę Ryan, która zamierzała wskrzesić ich wszystkich z martwych i z taką pasją traktowała historię ich życia.

Zatem napisałam do niej list, poprosiłam Sylwię, żeby go wysłała, i umówiliśmy się na spotkanie.

Salon

Moje włosy, które zawsze były jasne, teraz są śnieżnobiałe i bardzo, bardzo długie. Poza tym są delikatne i z każdym mijającym dniem wydają się coraz cieńsze. To jedyny przejaw mojej próżności – Bóg wie, że poza tym nie mam do niej zbyt wielu okazji. Już nie. Noszę tę fryzurę od dawna, od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Mam prawdziwe szczęście, że Sylvia z radością szczotkuje mi włosy, bardzo delikatnie. Codziennie zaplata je w warkocz. Zdecydowanie wykracza to poza jej obowiązki służbowe i jestem za to bardzo wdzięczna. Muszę jej o tym powiedzieć.

Tego ranka miałam taką szansę, ale zapomniałam. Byłam bardzo podekscytowana. Kiedy Sylvia przyniosła mi sok, ledwie mogłam go wypić. Cienka nić energii włókien nerwowych, która oplatała mnie przez cały tydzień, w ciągu ostatniej nocy zmieniła się w supeł. Sylvia pomogła mi włożyć nową sukienkę koloru brzoskwini – tę, którą Ruth podarowała mi pod choinkę – i zmieniła mi kapcie na parę wyjściowych butów, które zazwyczaj marniały w szafie. Ich skóra zrobiła się sztywna i Sylvia musiała wcisnąć mi je na nogi siłą, lecz taka jest cena elegancji. Jestem za stara, żeby uczyć się nowych zwyczajów, i nie potrafię znieść skłonności młodszych pensjonariuszy do wychodzenia w kapciach.

Makijaż tchnął w moje policzki odrobinę życia, lecz pilnowałam, żeby Sylvia nie przesadziła. Nie chcę wyglądać jak manekin

u grabarza. Nie trzeba dużo różu, aby zakłócić równowagę: reszta mojej postaci jest taka błada, taka mała.

Z pewnym wysiłkiem zawiesiłam na szyi złoty medalion. Jego dziewiętnastowieczna uroda wyróżniała się na tle mojego praktycznego ubrania. Poprawiłam go, zastanawiając się nad moją śmiałością, nad tym, co powie Ruth, kiedy go zobaczy.

Moje spojrzenie powędrowało w dół. W kierunku małej srebrnej ramki na toalecie. Zdjęcie ślubne. Z radością bym je stamtąd usunęła – małżeństwo zostało zawarte tak dawno temu i trwało bardzo krótko (biedny John) – ale to moje ustępstwo na rzecz Ruth. Myśl, że usycham z tęsknoty za jej ojcem, chyba sprawia jej przyjemność.

Sylvia pomogła mi przejść do salonu – mimo wszystko nadal określa się go tym mianem – gdzie właśnie podawano śniadanie. Miałam zaczekać na Ruth, która zgodziła się (jak powiedziała, wbrew swojemu zdrowemu rozsądkowi) zawieźć mnie do Sheperton Studios. Poprosiłam Sylwię, żeby zostawiła mnie samą przy stoliku w rogu i przyniosła mi szklankę soku, po czym jeszcze raz przeczytałam list od Ursuli.

Ruth przyjechała punktualnie o ósmej trzydzięci. Może i miała złe przeczucia co do sensu tej wyprawy, lecz mimo to jest – i zawsze była – niepoprawnie punktualna. Słyszałam gdzieś, że dzieci urodzone w niepewnych czasach nigdy nie pozbywają się poczucia niedoli i Ruth, dziecko drugiej wojny światowej, potwierdza tę regułę. Tak bardzo różni się od Sylvii, młodszej jedynie o piętnaście lat, która paraduje w obcisłych spódniczkach, zbyt głośno się śmieje i zmienia kolor włosów równie często jak swoich chłopaków.

Tamtego ranka Ruth weszła do salonu dobrze ubrana i idealnie wypielęgowana, lecz sztywna, jakby połknęła kij.

– Dzień dobry, mamo – powiedziała, muskając mój policzek zimnymi ustami. – Już po śniadaniu? – Zerknęła na stojącą przede mną, w połowie opróżnioną szklankę. – Mam nadzieję, że zjadłś coś poza tym. Prawdopodobnie po drodze utknijemy w porannym korku i nie będziemy miały czasu na żadne postoje. – Zerknęła na zegarek. – Chcesz iść do toalety?

Pokręciłam głową, zastanawiając się, kiedy z powrotem stałam się dzieckiem.

– Włożyłaś medalion ojca. Nie widziałam go całe wieki. – Wyciągnęła rękę, aby go poprawić, i z uznaniem pokiwała głową. – Miał świetny gust, prawda?

Przyznałam jej rację, poruszona bezgraniczną wiarą, jaką potrafią budzić małe kłamstewka zasłyszane w dzieciństwie. Ogarnął mnie przypływ czułości wobec mojej drażliwej córki i szybko stłumiłam sfatygowane matczyne poczucie winy, które wypływa na wierzch po każdym spojrzeniu na jej załękioną twarz.

Wzięła mnie za rękę, wsadziła ją sobie pod ramię, a w drugą dłoń włożyła mi laskę. Inni wolą chodziki albo nawet te zmotoryzowane wózki, ale mnie nadal w zupełności wystarcza laska, ponieważ jestem wierna starym przyzwyczajeniom i nie widzę powodu, dla którego miałabym to zmieniać.

Moja Ruth to dobra dziewczyna – jest rozsądna i niezawodna. Dziś włożyła oficjalny strój – taki, jaki wybrałaby na wizytę u notariusza albo lekarza. Wiedziałam, że tak zrobi. Chciała wywrzeć dobre wrażenie. Pokazać tej reżyserce, że bez względu na przeszłość swojej matki, Ruth Bradley McCourt jest szanującą się przedstawicielką klasy średniej – ot co!

Przez jakiś czas jechałyśmy w milczeniu, po czym Ruth zaczęła stroić radio. Miała palce staruszek. Knykcie spuchły w miejscach, przez które dziś rano przeciskała pierścionki. Obserwowanie, jak starzeje się moja własna córka, wprawia mnie w zdumienie. Po chwili zerknęłam na własne dłonie, splecione na podołku. Dawniej były takie zajęte wykonywaniem niewdzięcznych i skomplikowanych zadań, a teraz leżały bezwładnie, szare i zwiotczałe. W końcu Ruth zdecydowała się na stację nadającą muzykę klasyczną. Przez chwilę spiker w nieco idiotyczny sposób opowiadał o swoim weekendzie, a potem puścił Chopina. To oczywiście zbieg okoliczności, że właśnie dzisiaj musiałam usłyszeć walc cis-moll.

Ruth zaparkowała przed kilkoma wielkimi białymi budynkami, kwadratowymi niczym hangary. Wyłączyła silnik i siedziała przez chwilę, patrząc prosto przed siebie.

– Nie wiem, po co to robisz – powiedziała cicho i zaciśnęła usta. – Tyle w życiu osiągnęłaś. Podróżowałaś, studiowałaś, wychowywałaś dziecko... Dlaczego chcesz, żeby przypominano ci, kim byłaś w przeszłości?

Nie oczekiwała odpowiedzi, a ja jej nie udzieliłam. Gwałtownie westchnęła, wyskoczyła z samochodu i wyciągnęła z bagażnika moją laskę. Bez słowa pomogła mi wsiąść.

Czekała na nas jakaś młoda kobieta. Filigranowa dziewczyna z bardzo długimi jasnymi włosami, które opadały jej na plecy, a z przodu tworzyły gęstą grzywkę. Należała do tego typu dziewcząt, które można by określić jako zwyczajne, gdyby nie została obdarzona wspaniałymi ciemnymi oczami. Wyglądały jak element olejnego obrazu: były okrągłe, głębokie i pełne ekspresji, miały intensywną barwę mokrej farby.

Z uśmiechem pospieszyła w naszą stronę i wyjęła moją dłoń spod ręki Ruth.

– Pani Bradley, bardzo się cieszę, że zechciała pani przyjechać. Mam na imię Ursula.

– Grace – powiedziałam, zanim Ruth zdążyła wtrącić: „doktor”. – Jestem Grace.

– Grace – rozpromieniła się Ursula. – Nie masz pojęcia, jak bardzo ucieszył mnie twój list. – Mówiła z brytyjskim akcentem, co w zestawieniu z amerykańskim adresem, który widniał na jej korespondencji, było dosyć zaskakujące. Zwróciła się do Ruth: – Bardzo dziękuję, że zechciała pani przywieźć do nas mamę.

Poczułam, jak ciało Ruth się napina.

– Przecież nie mogłabym wsadzić jej do autobusu, prawda?

Ursula roześmiała się, a mnie ucieszyło to, że młodzi ludzie tak szybko interpretują nieuprzejmość jako ironię.

– Cóż, zapraszam do środka. Strasznie tu zimno. Proszę wybaczyć to dzikie zamieszanie. W przyszłym tygodniu zaczynamy zdjęcia i stajemy na głowie, żeby wszystko przygotować na czas. Miałam nadzieję, że spotka się pani ze scenografką, ale musiała pojechać do Londynu, żeby kupić jakiś materiał. Może zdąży wrócić, zanim pannie wyjadą... Uwaga na próg, jest dosyć wysoki.

Wspólnie z Ruth wepchnęły mnie do holu i poprowadziły mrocznym korytarzem z mnóstwem drzwi po obydwu stronach. Niektóre z nich były uchylone, więc zerkalam do środka, dostrzegając niewyraźne postacie usadowione przed świecącymi ekranami komputerów. Zupełnie nie przypominało to planu filmowego, który wiele lat temu odwiedziłam w towarzystwie Emmeline.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała Ursula, kiedy dotarliśmy do ostatnich drzwi. – Proszę wejść, a ja przyniosę herbatę. – Popchnęła drzwi i w chwili, w której przekroczyłam próg, cofnęłam się do czasów mojej młodości.



Znalazłam się w salonie rezydencji Riverton. Nawet tapeta była identyczna. Płomienne tulipany, bordowe *art nouveau* z Silver Studios*, świeże jak w dniu, w którym tapeciarze przywieźli je z Londynu. Pośrodku, przed kominkiem, stała skórzana kanapa ozdobiona drapowanymi indyjskimi jedwabiami, dokładnie takimi samymi jak te, które lord Ashbury, dziadek Hannah i Emmeline, przywiozł z zagranicznych podróży jako młody oficer marynarki. Okrętowy zegar stał tam gdzie zawsze, na kominku, tuż obok kandelabru Waterforda. Ktoś musiał zadać sobie wiele trudu, żeby go zdobyć, lecz każde tyknięcie odsłaniało oszustwo. Nawet teraz, jakieś osiemdziesiąt lat później, pamiętam dźwięk zegara stojącego w salonie. Cichy, lecz zdecydowany sposób, w jaki odmierzał upływ czasu: ciepły, pewny, chłodny – jak gdyby już wtedy wiedział, że dla mieszkańców tego domu czas nie jest sprzymierzeńcem.

Ruth poprowadziła mnie w stronę kanapy i posadziła na jej krańcu. Miałam świadomość panującego wokół poruszenia, ludzi, którzy taszczyli ogromne reflektory na owadzych nogach, wybuchów śmiechu.

Pomyślałam o moim ostatnim pobycie w salonie – nie w tym sztucznym, lecz w prawdziwym – w dniu, w którym już wiedziałam, że opuszczam Riverton i nigdy tam nie wrócę.

* Jedna z najbardziej wpływowych pracowni projektów tekstylnych w Wielkiej Brytanii, powstała w 1880 roku i przeżywała okres rozkwitu aż do połowy XX wieku.

O tym, że odchodzę, powiedziałam Teddy'emu. Nie był zadowolony, lecz nie posiadał już wtedy dawnego autorytetu, odebrały mu go ówczesne wydarzenia. Jego twarz pokryła się nieco zdumioną bladością; tak błady jest kapitan, który wie, że jego statek tonie, lecz nie jest w stanie temu zapobiec. Poprosił, żebym została, błagał, mówiąc, żebym zrobiła to nie tyle dla niego, ile przez lojalność wobec Hannah. I prawie się zgodziłam. Prawie.

Ruth lekko mnie szturchnęła.

– Mamo? Ursula do ciebie mówi.

– Przepraszam. Nie usłyszałam.

– Mama jest trochę głucha – powiedziała Ruth. – To normalne w jej wieku. Próbowалам namówić ją na badania, ale potrafi być dosyć uparta.

Uparta, nie przeczę. Ale nie jestem głucha i nie lubię, kiedy ludzie zakładają, że jest odwrotnie – bez okularów kiepsko widzę, szybko się męczę, nie pozostał mi już ani jeden własny ząb i żyję tylko dzięki koktajlowi z tabletek, lecz słuch mam dobry jak nigdy wcześniej. Po prostu z wiekiem nauczyłam się słuchać tylko tego, co chcę usłyszeć.

– Właśnie mówiłam, pani Bradley, Grace, że pewnie dziwnie się czujesz, będąc z powrotem w Riverton. Jeśli można to tak nazwać. Ta wizyta musi budzić mnóstwo wspomnień?

– Tak. – Odchrząknęłam. – Tak, rzeczywiście.

– Bardzo się cieszę – powiedziała Ursula z uśmiechem. – To chyba świadczy o tym, że dobrze się spisaliśmy.

– O tak.

– Czy jest coś, co tu nie pasuje? O niczym nie zapomnieliśmy?

Znowu rozejrzałam się wokół. Plan filmowy dopracowano do najdrobniejszego szczegółu. Nie zapomniano nawet o powieszeniu przy drzwiach zestawu herbów, pośrodku których tkwił szkocki oset pasujący do tego na moim medalionie.

A jednak czegoś brakowało. Pomimo precyzji wykonania plan filmowy był dziwnie pozbawiony atmosfery. Przypominał ekspонат w muzeum: interesujący, lecz martwy.

Rzecz jasna, było to całkowicie zrozumiałe. Chociaż lata dwudzieste nadal pozostają żywe w mojej pamięci, dla scenografów fil-

mowych to „dawne czasy”. Historyczne tło, którego odtworzenie wymaga równie wielu badań i mrówczej pracy nad szczegółami, co rekonstrukcja średniowiecznego zamku.

Czułam na sobie wzrok Ursuli, która niecierpliwie czekała na moją opinię.

– Jest idealnie – stwierdziłam w końcu. – Wszystko na swoim miejscu.

Wtedy powiedziała coś, co sprawiło, że drgnęłam.

– Wszystko oprócz rodziny.

– Tak. Wszystko oprócz rodziny. – Zamrugałam i przez chwilę miałam ich przed oczami: Emmeline rozłożoną na kanapie, pokazującą piękne nogi i rzęsy, Hannah, która marszcząc brwi, czyta jedną z książek z biblioteki, Teddy’ego kroczącego po perskim dywanie...

– Zdaje się, że Emmeline była bardzo rozrywkową kobietą – powiedziała Ursula.

– Tak.

– Łatwo było zebrać informacje na jej temat: imię Emmeline figurowało chyba we wszystkich rubrykach towarzyskich. Nie wspominając o listach i pamiętnikach połowy kawalerów, którzy byli wówczas do wzięcia!

Przytaknęłam.

– Zawsze była popularna.

Ursula spojrzała na mnie zza swojej grzywki.

– Odtworzenie charakteru Hannah nie było takie łatwe.

Odchrząknęłam.

– Nie?

– Ona była bardziej tajemnicza. Nie chodzi o to, że nie wspomniano o niej w prasie: owszem, wspomniano. Ona również miała swoich wielbicieli. Po prostu mam wrażenie, że niewielu ludzi naprawdę ją znało. Podziwiali ją, czasami wręcz czcili, ale tak naprawdę jej nie znali.

Pomyślałam o Hannah. Pięknej, inteligentnej i owładniętej tęsknotą Hannah.

– Była skomplikowaną osobą.

– Tak – powiedziała Ursula. – Właśnie takie odniosłam wrażenie.

Ruth, która przysłuchiwała się naszej rozmowie, powiedziała:

– Jedna z nich wyszła za jakiego Amerykanina, prawda?

Spojrzałam na nią zaskoczona. Zawsze dokładała wszelkich starań, by o Hartfordach wiedzieć jak najmniej.

Zauważyła moje spojrzenie.

– Trochę na ten temat czytałam.

Cała Ruth: przygotowała się do tej wizyty, bez względu na to, jak wielką odrazę budził w niej jej temat.

Ruth z powrotem zwróciła się do Ursuli i ostrożnie, bacząc, by nie popełnić jakiegoś błędu, powiedziała:

– Zdaje się, że wyszła za mąż po wojnie. To była Hannah czy Emmeline?

– Hannah. – Udało się. Zrobiłam to. Wypowiedziałam jej imię na głos.

– A co stało się z drugą siostrą? – ciągnęła Ruth. – Czy Emmeline kiedykolwiek wyszła za mąż?

– Nie – powiedziałam. – Była zaręczona.

– Kilkakrotnie – wtrąciła Ursula z uśmiechem. – Chyba nie potrafiła zdecydować się na jednego mężczyznę.

Ależ zdecydowała się. W końcu się zdecydowała.

– Pewnie nigdy się nie dowiemy, co dokładnie zaszło tamtego wieczoru. – To były słowa Ursuli.

– Masz rację. – Moje zmęczone stopy zaczynały buntować się przeciwko uciskowi skórzanych butów. Dziś wieczorem będą opuchnięte, a na ich widok Sylvia wyda okrzyk i będzie nalegała, abym wymoczyła je w ciepłej wodzie. – Pewnie się nie dowiemy.

Ruth wyprostowała się na krześle.

– Ale pani musi wiedzieć, co się stało, panno Ryan. W końcu robi pani o tym film.

– Oczywiście – powiedziała Ursula. – Znam podstawowe informacje. Tamtego wieczoru w Riverton była moja prababka, spokrewniona z siostrami poprzez małżeństwo z ich wujem, a cała historia z czasem stała się rodzinną legendą. Prababka opowiedziała ją babce, babka mamie, a mama mnie. I to wiele razy. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie. Zawsze wiedziałam, że pewnego dnia na-

kręcę o tym film. – Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. – Ale w każdej historii są jakieś luki, prawda? Zgromadziłam całe archiwum dokumentów: policyjne raporty i gazety są pełne faktów, lecz one wszystkie pochodzą z drugiej ręki. Podejrzewam, że podlegają dosyć ścisłej cenzurze. Niestety, obydwie osoby, które były świadkami samobójstwa, umarły wiele lat temu.

– Muszę przyznać, że to dosyć makabryczny materiał na film – rzekła Ruth.

– Ależ nie, jest fascynujący – zaprzeczyła Ursula. – Wschodząca gwiazda angielskiej sceny poetyckiej odbiera sobie życie nad ciemnym jeziorem w wieczór wielkiego przyjęcia. Jedynymi świadkami są dwie piękne siostry, które już nigdy nie zamienią ze sobą słowa. Jedna z nich jest jego narzeczoną, a druga rzekomą kochanką. To strasznie romantyczne.

Węzeł w moim żołądku odrobinę się rozluźnił. Zatem ich tajemnica nadal jest bezpieczna. Ursula nie zna prawdy. Zastanawiałam się, dlaczego w ogóle myślałam, że jest inaczej. Zastanawiałam się również, coż za opacznie pojęta lojalność kazała mi starać się, by ta prawda nie wyszła na jaw. Dlaczego po tych wszystkich latach przejmowałam się tym, co pomyślą ludzie.

Jednak również na to pytanie znałam odpowiedź. Miałam tę lojalność we krwi. Pan Hamilton powiedział mi o tym w dniu mojego wyjazdu, kiedy stałam na najwyższym stopniu schodów dla służby, ze skórzaną torbą wypełnioną skąpym dobytkiem, a pani Townsend popłakiwała w kuchni. Powiedział, że mam tę lojalność we krwi, podobnie jak moja matka i jej rodzice, i że popełniam głupstwo, odchodząc, porzucając porządne miejsce pracy i dobrą rodzinę. Potępił brak lojalności i dumy powszechny wśród Anglików, i przysiągł, że zrobi wszystko, by nie skaził on Riverton. Nie po to wygraliśmy wojnę, żeby tracić nasze zasady.

Wtedy mu współczułam: był taki nieustępliwy, taki pewny, że odchodząc ze służby, skazując się na finansowy i moralny upadek. Dopiero później zaczęłam rozumieć, jak bardzo musiał być przerażony, jak nieuniknione musiały mu się wydawać gwałtowne zmiany społeczne, które otaczały go ze wszystkich stron, i rzeczywistość,

która deptała mu po piętach. Jak rozpaczliwie próbował trzymać się starych zasad i pewników.

Ale miał rację. Nie we wszystkim, nie wtedy, gdy mówił o upadku. Ani moje finanse, ani moralność nie ucierpiały po odejściu z Riverton, lecz jakaś część mnie nigdy nie opuściła tego domu. A raczej jakaś część Riverton nigdy nie opuściła mnie. Jeszcze wiele lat później wystarczył zapach pszczelego wosku firmy Stubbins & Co., chrzęst żwiru pod kołami samochodu, pewien szczególny dźwięk dzwonek do drzwi, i znowu czułam się jak czternastolatka zmęczona po długim dniu pracy, która syczy kakao przy kominku w suterenie, podczas gdy pan Hamilton donośnym głosem czyta wybrane fragmenty „The Times” (te, które uznał za odpowiednie dla naszych podatnych na wpływy uszu), Nancy marszczy brwi w odpowiedzi na jakiś zuchwały komentarz ze strony Alfreda, a pani Townsend cichutko pochrapuje w bujanym fotelu, trzymając w pulchnych dłoniach ręczną robótkę...

– Oto i herbata – powiedziała Ursula. – Dzięki, Tony.

Obok mnie wyrósł jakiś młody mężczyzna, który przyniósł prowizoryczną tacę z kolorowymi kubkami i wypełnionym cukrem starym słoikiem po dżemie. Postawił ją na stoliku do kawy i Ursula zaczęła rozdawać kubki. Ruth podała mi jeden z nich.

– Mamo, co się dzieje? – Wyciągnęła chusteczkę i sięgnęła w kierunku mojej twarzy. – Źle się czujesz?

Wtedy poczułam, że mam wilgotne policzki.

Sprawił to aromat herbaty. I fakt, że siedziałam tu, w tym pokoju, na tej kanapie. Ciężar dawnych wspomnień. Sekretów, które długo trzymano w tajemnicy. Zderzenie przeszłości z teraźniejszością.

– Grace? Podać ci coś? – To pytanie padło z ust Ursuli. – Może przykręcić ogrzewanie?

– Będę musiała odwiedzić ją do domu. – Znowu odezwała się Ruth. – Wiedziałam, że to nie jest dobry pomysł. To dla niej zdecydowanie zbyt wiele wrażeń.

Tak, chciałam wracać do domu. Chciałam znaleźć się w domu. Poczułam, jak czyjeś ręce dźwigają mnie w górę, wsadzają mi łaskę w dłoń. Wokół wirowały jakieś głosy.

– Przepraszam – powiedziałam, nie bardzo wiedząc do kogo. – Po prostu jestem bardzo zmęczona. – Bardzo zmęczona. To wszystko było tak dawno temu.

Bolały mnie stopy: buntowały się przeciwko uciskowi butów. Ktoś – chyba Ursula – wyciągnęła rękę, żeby mnie podtrzymać. Zimny wiatr uderzył mnie w mokre policzki.

Potem znalazłam się w samochodzie Ruth, a obok przemykały domy, drzewa i znaki drogowe.

– Nie martw się, mam, już po wszystkim – powiedziała Ruth. – To moja wina. Nigdy nie powinnam była się na to zgodzić.

Położyłam dłoń na jej ramieniu i poczułam, jaka jest spięta.

– Powinnam była zaufać instynktowi – wyrzucała sobie. – Głupio postąpiłam.

Zamknęłam oczy. Wsłuchiłam się w szum chłodnicy, w rytm wycieraczek, warkot samochodu.

– Już po wszystkim, teraz będziesz mogła trochę odpocząć – powiedziała Ruth. – Jedziesz do domu. Już nigdy nie będziesz musiała tam wracać.

Uśmiechnęłam się i poczułam, że odpływam.

Za późno, już jestem w domu. Wróciłam.